



SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK XXI

PARYŻ—LONDYN

NR 47/1012 (708)

CZWARTEK, 30 listopada 1961

JÓZEF ŁOBODOWSKI

NA ZJAZD MOSKIEWSKI

I

Gdy w mauzoleum raz zamieszkał,
przy boku Lenina — Iljicza,
pod szklanym wiekiem, jak ta Snieżka,
co czeka przyjsia królewicza,
któż z bliskich, czy z dalekich stron
mógł się spodziewać i wyróżnić,
że przyjdzie ktoś, kto ciszę zburzy
i trumnę kopnie, krzyząc: Won!!!

Ci sami, co padali plackiem,
by skronią końca butów dotknąć,
co przed nim zlaną krwią posadzkę
lizali, żeby się nie potknął;
co, kiedy palcem skinął zbrodniarz,
gwałcili, mordowali co dnia;
co przez trzydzieści długich lat
żyli i tyli w jego cieniu —
a dziś, gdy mumią stał się Geniusz,
to już nie geniusz, jeno — kat?!

Przed niewolników czarną tłuszcą
nowy dyktator się rozchamiał.
Przedtem był Stalin, teraz Chruszczow,
ale podobni, tacy sami!
Kto tyłu zbrodni był współnikiem,
ktamliwym się nie wykpi krzykiem,
rąk zakrwawionych nie oczyści,
gdy fałszem mu zalewa grdykę
zemsta pośmiertnej nienawiści!

Więc chyłkiem uprzętnęli trupa
i hurmem ku nowemu panu,
radośnie w pustych grzmieć skorupach
przy wtórze bębnow i tympanów.
Na wielki teb cesarski wawrzyn,
nim się rozjuszy i rozbabrze
raz jeszcze stare gnojowisko,
nim na kremłowską Łysą Górę,
w tłum zjaw, czarownic i raffurek
nie runie grom i spali wszystko.
I oczy, które tkwiły w śnie,
przejrzę i zniknie nocna zmora,
że sprawiedliwy Boży gniew
na wylot przebił pierś upiora.

II

Tak już było, tak już było nie raz!
Gdy z podziemi trumny wyrzucano,
gdy niewolnik ku wczorajszym panom
z wyciem pędził i zemstą się pasł;
gdy pod blaskiem przerażonych gwiazd
tłuszcza wleka zwałki pohańbione,
by nazajutrz przed tym samym tronem
giąć kolana i kłaniać się w pas.

Wstaje pożar nad Moskwą olbrzymi,
czarne więdźmy zwoluje na taniec;
palą trupa na stosie: to Dymitr,
wczoraj car, a dzisiaj Samozwaniec.
I nabili ciepłe prochy w armate,
wystrelili nad stolicę, nad światem,
żeby deszcz z tym prochem przemieszany
padal z nieba na te same kajdany —
krwawe łzy na gęby ospowate...

I tej nocy moskiewskiej przyswiadczył
gluchy warkot bębnow po latach:
z Peterhofów, Carskich Siót i Gaczym
także wicher nowe trupy wymiata;
niech się ucą przyszłe wieki, niech się ucą,
że Iwanów i Piotrow skrytobójczo
po fortecznych gładzą kazamatach,
że pijane dłonie niewolników
znowu wleka cesarza na stryku —
i rodzony syn mu był za kata!

Więc gdy znów uderzy w niebo luna,
takich samych widm i maszkar szpetność;
Nie osądzi prawników trybunał,
na szafocie jawnie nie zetną;
w mrok przemoczony latarka zagłada,
tupot butów i bagnatów żąda,

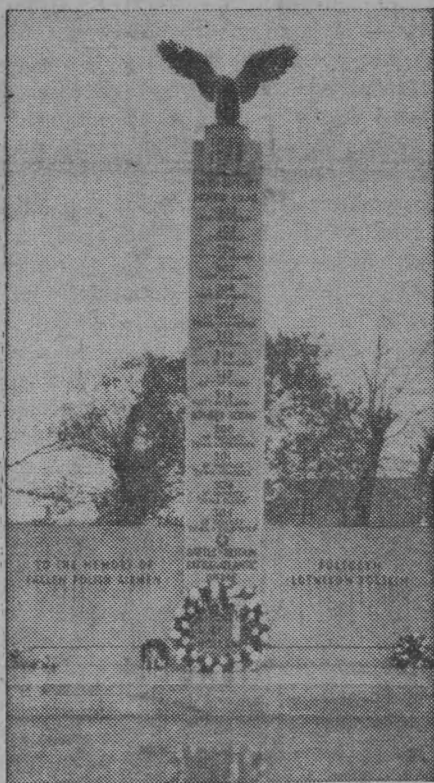
oczy śmierci, przerażeniem skute,
Cieżarówki dygot, las i parów —
oto płoną wśród uralskich chojarów
trupy dzieci, oblane mazutem

Wciąż czerwony kogut u twych krokwi,
wciąż pijaństwo i stary kociołkwi,
toczy beczki oszalala szynkarka —
miecz katowski na trumnach się szczyrbi,
gdy od wieków w imperialnym herbie
tylko topór i zbójceki arkan.

III

Tak uciskiem odmienia się ucisk,
tak tyranów i morderców wyscig,
iż carowie — zarzewiem rewolucji,
a carami — rewolucjonisci!

I w poświętach śnieżnej, czarnej purgi
nóg się czepia krwią spuchnięte błoto,
gdy kotując, lecz noc Walpurgii
ku historii kolejnym szafotom.



Dnia 11 listopada odbył się w Londynie Zjazd Lotników Polskich. Z tej okazji delegacja lotników z gen. bryg. pil. inż. L. Rayskim na czele złożyła wieniec pod pomnikiem lotnika polskiego w Norholt pod Londynem. (p. art. na str. 3)

Fot. W. Bednarski

PIERWSZA SERIA STATKÓW-CHŁODNI W GDYNI

Budowę pierwszej serii statków-chłodnicowców rozpoczęto po wojnie w Polsce w lutym 1959 r. w stoczni gdyńskiej. Statki te — jak informuje poznańska agencja ZAP — zdobywają uznanie zagranicą. Dysponują one 8 miejscami pasażerskimi, chłodnice zaś mają nośność 1,650 ton. Trzy pierwsze statki „Tolin”, „Koszalin” i „Deblin” pływają już pod polską banderą.

Większość urządzeń na budowanych w Gdyni chłodnicowcach jest — jak zapewnia ZAP — produkcji polskiej. Urządzenie chłodnicze, poza „niektórymi mechanizmami z importu”, dostarcza gdańskie przedsiębiorstwo urządzeń chłodniczych, które „doskonale opanowało ten nowy dla siebie dział”. Sprzęt okrętowy produkowany jest w Bydgoszczy, a urządzenia elektrohydrauliczne w Gdańsku. „Również windy ładunkowe są krajowej produkcji”. (FEC)

WIECZNE REMONTY NOWYCH BUDYNKÓW

Powołując się na codzienną prasę warszawską krakowski tygodnik „Życie Literackie” zajmuje się problemem wiecznych trwających remontów w wybudowanych kilka lat temu budynkach. N.p. — pisze ten tygodnik — Urząd Pocztowy na Placu Konstytucji, który liczy zaledwie kilka lat już od miesiąca znajduje się w remoncie. Remont ten potrwa napełno długi tygodnie. Nieco dalej przy Placu Konstytucji całe niemal lato trwa przebudowa radiostacji, którą w budowano później, niż Urząd Pocztowy.

Lista takich remontów jest dość długa. „Warszawski hotel „Bristol” remontowany już jest siedem lat. W Krakowie wiele miesięcy trwał remont restauracji RSW „Prasa”. W międzyczasie z powodu ciągłych remontów ludzie muszą wyczekiwać w „niekończących się ogonkach” w ciasnych lokalach zastępczych. (FEC)

Od Nowosybirsk do Strasburga

SMUTNA pielgrzymka prezydenta Kekkonena do Nowosybirsk dla spotkania tam Chruszczowa podkreśliła wymownie dramat Finlandii, a zarazem trudne położenie całej Skandynawii, gdzie zwraca się obecnie agresja sowiecka. Rozmawiając z Chruszczowem w dalekiej Syberii, prezydent Kekkonen znalazł się w sytuacji niemal upokarzającej będąc zupełnie odcięty od swego kraju, zmuszony do podejmowania decyzji na swoją tylko odpowiedzialność, poddany stałemu naciskowi dyktatora Rosji Sowieckiej, który zmusił go do wysłuchania długiej tyrady, zwróconej głównie przeciw Norwegii i Danii, związanym z Finlandią węzłami przyjaźni.

W Helsinkach pierwsze wrażenie wyników tej dysputy było uczucie ulgi, że Kekkonenowi udało się zapobiec brutalnym i natychmiastowym krokom sowieckim, wymierzonym przeciw Finlandii. Rokowania wojskowe między Finlandią i Rosją — rokowania, których najbardziej obawiała się opinia fińska — uległy odroczeniu, lecz nie zostały zaniechane. Pozostanie Kekkonena na stanowisku prezydenta ma służyć Moskwie za rękomię polityczną.

W tej przymusowej i wymuszonej sytuacji główny jego kontrkandydat Honka, popierany przez konserwatyistów i socjalistów, wycofał się natychmiast z wyborów a przewodniczący izby poselskiej socjalista Fagerholm doradzał wszystkim partiom po prostu konstytucyjne przedłożenie mandatu Kekkonena i uniknięcie w ten sposób głosowania. Te posunięcia wewnętrzne dyktowane przez patriotyzm stronnictw (z wyjątkiem komunistów) nie zadowolili Chruszczowa. Niedość, że wymu-

sił z góry kandydaturę Kekkonena, ale ponadto napadł publicznie na fińskie „koła prawicowe” i na wybitnego męża stanu Tannera, którego popierają socjaliści.

Trudno nie uznać brutalnych napaści Chruszczowa za mieszanie się do wewnętrznych spraw Finlandii, Gorzej — bo potraktował on Finlandię jako zakładnika skandynawskiego w szponach sowieckich. Finlandia ma być — jak się wyraziła prasa szwedzka — „bronią” w rękach moskiewskich, bronią wymierzoną przeciw Skandynawii i mocarstwom zachodnim. I o to zresztą Chruszczowowi chodziło, gdy wszczynął awanturę z Finlandią.

Niemal otwarcie Chruszczow odezwał się w nowosybirskiej mowie do Norwegii i Danii: odczepcie się od NATO, bo inaczej zajmę Finlandię. Prezydent Kekkonen natomiast musiał zobowiązać się, jak wynika z komunikatu, że będzie starał się oddziaływać na oba te kraje skandynawskie, by powstrzymały się od kroków, mogących wzbudzić „niepokój” Związku Sowieckiego. Z drugiej strony oświadczył on Chruszczowowi, że zawarcie umów wojskowych fińsko-sowieckich wznieci w całej Skandynawii „niepokój i psychozę wojenną” i radził tego uniknąć. Podjął on więc raz jeszcze próbę, utrzymania niezawisłości Finlandii. (Dokończenie na str. 8)

NOWA POWIEŚĆ

Z dniem dzisiejszym rozpoczynamy na str. 7 druk nowej powieści pt. „WIECZÓR W OPERZE” pióra znanej pisarki Marii Kasterskiej z Paryża.

80-LECIE PAPIEŻA JANA XXIII

Połączywszy dwa obchody — 3-lecia koronacji i własnego 80-lecia — w jedną całość, Jan XXIII już w wigilię dnia 4 listopada przyjął na uroczystych posłuchaniach zbiorowych św. Kolegium i Korpusu dyplomatycznego. W imieniu 53 obecnych Kardynałów przemówił dziekan św. Kolegium, kardynał Tisserant. W życzeniach Korpusu dyplomatycznego dziekan, ambasador Irlandii McCauley, położył nacisk na gotowość współdziałania z wielkim wysiłkiem Ojca św. dla utrzymania pokoju. Papież podjął ten temat w swej odpowiedzi, podkreślając jak ceni sobie współdziałanie tych rządów, które pragną pokoju i jak bardzo na nie liczy. Skończywszy przemowę Ojciec św. obzedeł zebranych szefów misji, co dało Ambasadorowi R.P. możność złożenia życzeń w imieniu Polski „zawsze wiernej”. Papież łaskawie przyjął je i dał błogosławieństwo.

Tymczasem przybyły w komplecie do Rzymu zapowiedziane od dawna misje nadzwyczajne: ilość ich doszła do 70. Wiele państw, nie mających stosunków dyplomatycznych ze Stolicą św., wysłało takie misje. Wyliczamy tu wśród delegatów: premiera Włoch Fanfani — z min. spr. zagr. Segni, premiera Brazylii — Tancredi Neves, prem. Irlandii — Sean Lemass, kanclerza austriackiego Gorba-

cha — z min. spr. zagr. Kreiskym, prezydenta Senatu Belgii — Struye, min. spr. zagr. Hiszpanii — Castiellé, francuskiego min. oświaty — Michelet, ambasadora nadzwyczajnego Stanów Zjednoczonych — Finlettera, przedstawicieli Kanady, Egiptu, Niemiec, Kongo, Iraku, Korei, Kuwaitu itd. W imieniu Amerykanów pochodzenia polskiego przybył ks. prałat Sikora.

Punktem kulminacyjnym uroczystości było uroczyste nabożeństwo, odprawione w dniu 4 listopada przez kardynała arcybiskupa Mediolanu Montini w Bazylice św. Piotra. Ojciec św. wygłosił po Ewangelii homilię, która była na pewno najdłuższą ale i najpiękniejszą z mów przez niego dotychczas wypowiedzianych. W homilii tej, Papież zapowiedział wydanie nowej Encykliki, poświęconej jednemu z największych Papieży, Leonowi Wielkiemu. W kołach poinformowanych już dziś mówią o tym, że ostre nowej Encykliki zwraca się przeciw największej herezji dziejów i najistotniejszemu zagrożeniu świata cywilizowanego, jakim jest komunizm.

Popołudniu kardynał Sekretarz Stanu Amleto G. Cicognani, przyjmował przybyłych na uroczystości gości zagranicznych i Korpus dyplomatyczny w tzw. apartamentach Borgia, pałacu watykańskiego. Sale przedstawiały widok nader malowniczy: obok żakietów dyplomatów i galowych mundurów gwardii papieskiej widziało się burnusy szeków arabskich oraz egzotyczne i kolorowe stroje delegatów nowych państw czarnej Afryki. Zdawało się w pewnej chwili, że książe Djem, poprawiwszy turbanu, zeszedł z fresku Pinturicchia, na którym przysłuchiwał się dyspacie św. Katarzyny, by zmieszać się z obecnymi na sali.

Wieczorem tego dnia odbyła się jeszcze uroczystość 100-lecia „Osservatore Romano” w Auditorio Pio. Rzymska publiczność nie zawiodła, sala była szczerze wypełniona. Zebrani wysłuchali dłuższego przemówienia kardynała Urbani, który przypomniał dzieje pisma watykańskiego od odległego 1861 roku począwszy. Były redaktor naczelny pisma, Józef dalla Torre był przedmiotem szczególnych owacji; obecny redaktor Raimondo Manzini złożył w swoim przemówieniu rodzaj wyznania wiary i programu prac pisma na przyszłość.

FP 2156

Dokumenty. 10. PISMA OSTATNIE ANDRZEJA STAWARA. Biblioteka „Kultury”, tom LXVII. Paryż 1961. Stron 276.

ADAM CIOLKOSZ

TESTAMENT STAWARA

RECENZJA

„Pisma ostatnie Andrzeja Stawara” są książką niezwykle interesującą. Ukazuje nam ona komunistę, który raz odzyskawszy w roku 1934 zdolność do samodzielnego myślenia, czynił z niej pełny i konsekwentny użytek aż do swej śmierci w roku 1961. Nie zaciągnął się do żadnej komunistycznej sekty, pozostał sam. Na szczególną uwagę zasługują np. uwagi Stawara na temat Trockiego; widzi w Trockim *pendant* do Stalina, tak jak antypapież stanowił *pendant* do papieża; istotą jego walki ze Stalinem była walka o następstwo po Leninie, o jedynowładztwo, a nie walka o kierunek rządzenia. Stawar degraduje wszystkich bogów na komunistycznym Olimpie: Lenina, Trockiego, Stalina, Chruszczowa; depersonalizuje ich, a różnice między nimi bagatelizuje; istotę rzeczy widzi w działających w danym okresie siłach społecznych i w sytuacjach historycznych.

Tak patrząc na historię rewolucji rosyjskiej, Stawar wyprowadza jej fazę marcową z klęską wojennej, która doprowadzić musiała do załamania się caratu; fazę październikową wyprowadza z szalonej myśli rozpoczęcia na nowo działań wojennych, co skończyć się musiało katastrofą Rządu Tymczasowego. W tych warunkach historia stworzyła zapotrzebowanie na przewrót pod hasłem natychmiastowego zawarcia pokoju. Gdyby tego przewrotu nie dokonała partia bolszewików, dokonałyby go inne siły, o innej obsłonce ideologicznej. Tak rozumując, Stawar w pewnej mierze usprawiedliwia także i Stalina, bo uznaje konieczność szybkiego uprzemysłowienia Rosji, a nawet kolektywizacji rolnictwa. Potępił dopiero drugi okres rządów Stalina, od roku 1934, gdy na wzór Hitlera sięgnął Stalin do metod terrorystycznych. Nawet w konstytucji stalinowskiej z roku 1936 widzi Stawar próbę dopuszczenia szerokich mas ludności do współudziału w wykonywaniu zadań, będących koniecznością Rosji; co prawda, próba się nie powiodła. W tym ujęciu maleją różnice pomiędzy Leninem a Stalinem (do roku 1934), zaś w polityce Chruszczowa należałoby upatrywać powrót nie tyle do Lenina, ile do Stalina sprzed roku 1934.

Wyprowadzenie bolszewizmu z warunków rosyjskich, a więc potraktowanie go jako zjawiska gdzieś indziej niepowtarzalnego, jest w książce Stawara najważniejsze i najcenniejsze. Ten pogląd Stawara klęci się z doktrynami Lenina, Stalina i Chruszczowa. Wszyscy oni uważają ustrój sowiecki, dyktaturę proletariatu, monopol partii komunistycznej i centralizm demokratyczny (czyli zakaz tworzenia frakcji) za powszechnie obowiązujące prawidłowości rewolucji socjalistycznej. Stawar wykazuje całą bezsens tej dogmatyki. Wykazuje też, jaką naprawdę rolę odegrały na uki Marksa w komunizmie rosyjskim. Nauki te zostały w Rosji zaadaptowane do potrzeb kraju, w którym destrukcyjna rola kapitalizmu była znacznie większa od konstrukcyjnej i który cierpiał nie na przerosty kapitalizmu, lecz na jego brak. Rosja zapożyczyła sobie od Marksa teorię, opracowaną z myślą o krajach o zupełnie innych warunkach gospodarczych, społecznych, politycznych i kulturalnych. Marksizm odegrał w Rosji rolę porządkującą jako doktryna przebudowy młodego i słabo zintegrowanego społeczeństwa, o nieokreślonej jeszcze strukturze. Jest to znakomita ilustracja dla teorii „wędrówek idei”, wedle której zdarza się, iż przychodząca z zagranicy obca idea wyprzedza dojrzałość sił produkcyjnych i dojrzałość społeczną —

i wówczas wskazuje drogę postępowania, przeinaczając bieg dziejów. Autorem tej teorii był Ludwik Krzywicki. Stawar nie powołuje się na Krzywickiego, ale widoczne jest, że od niego przejął metodę. Nauczycielami Stawara byli Marks plus Krzywicki.

Również od Krzywickiego zaczerpnął Stawar pogląd, że rozwój dziejowy jest wypadkową nie tylko rozwoju sił wytwórczych i pod ich wpływem powstałych idei społecznych, ale także podłoża historycznego, istniejącego w danym czasie i miejscu; ten sam ustrój gospodarczy może tedy prowadzić w różnych krajach do różnych rezultatów politycznych. Przeprowadzona przez Stawara doskonała analiza reżimów cesarystycznych (esej z r. 1934) może służyć za przykład inteligentnego zastosowania teorii Krzywickiego. Dla marksistów szkoły moskiewskiej znaczenie zwycięstwa faszystów w Niemczech było podrzędne, faszizm był wedle nich tylko zmianą form dyktatury burżuazyjnej, wynikającą z podziału ról pomiędzy skrzydłem demokratycznym a skrzydłem głoszącym nagi gwałt. W rozumieniu komunistów, burżuazyjne „zmiany warty” to albo komedia, odgrywana celem wprowadzenia proletariatu w błąd, albo spór w rodzinie, którego nie należy brać zbyt poważnie. Właśnie ta uproszczona, wulgarna analiza odepchnęła Stawara raz na zawsze od marksistów szkoły moskiewskiej.

Stawar wykazuje, że wszystkie cząstkowe reformy, związane z demokracją parlamentarną, były produktem ubocznym walki rewolucyjnej proletariatu, że zatem pojmowanie tych reform jako oszustwa, podzuczonego proletariatu przez burżuzję celem osłabienia jego bojowości, klęci się z historyczną genezą tych reform. Nie tylko jednak pomiędzy demokracją parlamentarną a jawną dyktaturą burżuazji zachodzi różnica. Różnica zachodzi także pomiędzy poszczególnymi formami reżimów dyktatorskich. „Ludzie — pisał Stawar — którzy pod jedno miano wypychają reżim Horthy'ego, Aleksandra jugosławińskiego i nieboszczyka Primo de Riverę z reżimem Mussoliniego i Hitlera, cierpią na nieuleczalną ślepotę teoretyczną”. Rozróżnienie, przeprowadzone przez Stawara, miało znaczenie nie tylko badawcze, ale i praktyczne. Reżimy faszystowskie urzeczywistniły pełne, nieograniczone — kierownictwo nad społeczeństwem, stworzyły sobie bazę masową, odizolowały proletariatu od elementów drobnomieszczańskich

miasta i wsi, zmiądzziły klasę robotniczą jako siłę polityczną. Natomiast reżimy bonapartystowskie zapewniły sobie administracyjny monopol władzy, ale nie potrafiły (i nawet nie próbowały) zlikwidować podziału pomiędzy rządem a społeczeństwem; w reżimach tych klasa robotnicza zachowała bodaj częściowo swą siłę polityczną. Wynikająca stąd prognoza dziejowa, inna dla reżimów faszystowskich a inna dla reżimów bonapartystowskich, była niestety do rozpoznania, podobnie jak niestety do ustalenia były płynące stąd nakazy taktyczne ruchu robotniczego. Stawar, oczywiście, nie potrafił przekonać Moskwy. Po krótkim okresie wahań i nieszczerych prób „frontu ludowego” Moskwa powróciła do starych nałogów i orzekła, że „faszizm jest kwestią gustu”. Dalszy ciąg jest wiadomy, z konsekwencjami, trwającymi po dzień dzisiejszy.

To samo ostrzeżenie, które Stawar kierował w roku 1934 pod adresem komunistów ortodoksyjnych, kieruje teraz pod adresem Zachodu: nie generalizować! Ostrzega przed zestawianiem z sobą różnych reżimów totalnych i braniem ich pod jeden strzychulec. W Hitlerze i Mussolinim widzi tylko awanturników, działających w określonej koniunkturze wojennej, pozbawionych głębszej myśli polityczno-społecznej. Natomiast „rewolucja rosyjska, cokolwiek o jej dalszym rozwoju można powiedzieć, była zjawiskiem niezmiernie bogatym w przeróżne koncepcje i możliwości. Zawzięciała to przede wszystkim marksizmowi — i tych możliwości rozwojowych nie można bynajmniej uznać za wyczerpane”. Na czym polega Stawar swój względny optymizm? Właśnie na marksistowskiej analizie. Za punkt wyjścia służy mu teza, że struktura gospodarcza ZSRR uległa zasadniczej zmianie, ale że generalne konflikty wewnętrzne rewolucji przetrwały niezmiennie przez lata wstrząsów. Partia przyrzeka przejście — jeszcze w bieżącym stuleciu — do najwyższej fazy rozwojowej społeczeństwa ludzkiego, ale wciąż trudno sobie wyobrazić generalne przemiany psychologiczne u ludności, które by funkcjonowanie takiego ustroju zakładały; rzecz więc wygląda na jedno z kuglarstw zmarłego wodza, prowadzących jedynie do konfuzji. Po 40 latach panowania nowego ustroju moralność gospodarcza pozostała w Związku Sowieckim niezmienną, jej miarą wciąż jest pieniądź, jak najwięcej pieniędzy. Postępowi technicznemu nie towarzyszy postęp w gospodarności; marnotraw-

stwo i szkodnictwo jest potworne i opóźnia wzrost dobrobytu, a ciężar gatunkowy tego zjawiska rośnie w miarę jak państwo przejmuje funkcje instytucji usługowej. Wzmożenie represji karnych niewiele tu pomoże; poszanowanie własności społecznej mogłoby się rozwijać tylko na gruncie poszanowania własności w ogóle, także własności prywatnej. Co więcej, ugruntowanie nowej moralności gospodarczej jest niemożliwe bez oparcia o zasady moralności ogólnej, obowiązującej zarówno rządzących jak i rządzonych. Wymaga to porzucenia zasady, że ostatecznym i najwyższym kryterium moralnym jest interes partii. Jedną moralność i jedno prawo dla wszystkich, oto postulat pierwszy.

Po drugie, wykazuje Stawar, że urobiona i utrwalona za Stalina koncepcja cesarystyczna pozostała niezmienną, nie poruszyła jej krytyka kultu Stalina. Partia nie ma programu reformy państwa i dyktatury. W tym stanie rzeczy wszelkie zmiany władzy są sprawą mniejszych i większych zamachów stanu. Narowy dyktatury sprawiają, że urzędnik (zwłaszcza na prowincji) nie tyle administruje, co komenderuje. Biurokracja przejęła bizantyjskie manierey dawnego aparatu carskiego, plagą istną jest jej niski poziom kulturalny, w szczególności poziom kultury pracy. Uderza brak pierwiastka racjonalizacji administrowania. Z drugiej strony, krytyka i krytyczne myślenie jest całkowicie wyeliminowane z życia społeczeństwa. Jako remedium wskazuje Stawar „przełamanie twardego monopolu władzy i dopuszczenie do głosu, w jakimkolwiek stopniu, odmiennych poglądów”. Stawar proponuje pozostawienie biurokracji, a nawet jej wzrost liczebny i podniesienie jej plac — za cenę zgody z jej strony na kontrolę przez wybieralne organy społeczeństwa, a więc na taki stosunek, jaki na Zachodzie zachodzi pomiędzy parlamentem a administracją. Taki jest, zdaniem Stawara, wymóg usprawnienia administracji sowieckiej, obecnie barbarzyńskiej, skorumpowanej, beznadziejnej, operującej przestarzałymi metodami. Jako jeden z wielkich problemów administracji sowieckiej wymienia Stawar politykę rolną i jej rekwizycyjny charakter: chłopom wyznacza się za produkty rolne ceny tak niskie, że odbiera im to ochotę do starannej pracy. Problem ten przetrwał po dzień dzisiejszy.

Przyjęcie jednej moralności i jednego prawa dla wszystkich, przełamanie monopolu władzy — te dwa

postulaty są właściwie swą wzajemną funkcją, dwoma aspektami tego samego zagadnienia: demokratyzacji Związku Sowieckiego. Zasługą i wielkim dorobkiem intelektualnym Stawara jest wykazanie, iż bez przyjęcia tych postulatów gospodarka uspołeczniona w ZSRR nigdy nie będzie mogła funkcjonować prawidłowo. W tym postawieniu nakazów moralności i polityki jako odbicia konieczności gospodarczych widać najlepiej opanowanie metody marksistowskiej przez Stawara. Marksistą jest Stawar i w tym, że w swej prognozie nie odbiera ludziom wolnej woli i pozostawia im swobodę wyboru. Jego analiza sytuacji w ZSRR nie ma znamion prorocstwa, pozostawia otworem dwie możliwości: albo ZSRR przeprowadzi ową proponowaną przez Stawara reformę minimalną i wtedy uzdrowi administrację i gospodarkę, koncedując jednocześnie rzeczywisty krok w kierunku demokratyzacji, albo też z obawy przed demokratyzacją ustroju nie przeprowadzi reformy i wtedy gospodarka sowiecka będzie nadal połączeniem dynamizmu i procesów gnijnych.

Książka Stawara jest znakomitym dowodem, że marksizm jako metoda badania zjawisk społecznych nie stracił z swej dawnej świetności i użyteczności. Poszczególne części tej książki pochodzą z różnych okresów czasu i w różnych celach były napisane: dawne eseje pisane były w ogniu walki, ostatnia część (Glossy) jest testamentem człowieka, stojącego nad grobem. Mimo to książka stanowi jednorodną całość, dzięki jednolitej metodzie. Szczególną i trwałą wartość ma analiza kształtowania się biurokracji sowieckiej. Warto też zwrócić uwagę na analizę przyczyn załamania się systemu terrorystycznego po zgonie Stalina, może niezupełnie wykończoną; autor nie uwzględnił nacisku sytuacji demograficznej — straty wojenne, sięgające 25 milionów żyć ludzkich, nie pozwalały na dalsze marnotrawienie milionów ludzi w łagrach. W tym miejscu sprostowanie: Stawar ocenia zaludnienie łagrów na 2 — 3 miliony osób; o ile wiemy, w roku 1941 wynosiło ono 14 milionów. Interesującą jest ocena sytuacji międzynarodowej Związku Sowieckiego, który — zdaniem Stawara — zabrnął w ślepią ulicę pozornych sukcesów i stracił możliwość manewrowania.

Ostatnią część swej książki pisał Stawar we Francji, ale pisał ją z myślą o czytelniku — na Wschodzie. Stwierdzając to, nie chcemy powiedzieć, że autor nastawił się na określoną klientelę z uszczerbkiem dla jasności myśli i szczerości ekspozycji. Cała bowiem książka przepojona jest uczuciowością intelektualną. Rzecz w tym, że czytelnik na Wschodzie nie oczekuje wartościowania etycznego reżimów komunistycznych, bo to jest znane, interesuje go natomiast 1. analiza rzeczywistości, czyli to co Marks określił słowami: „aussprechen was ist”, 2. prognoza, i to nie zbyt daleko wybiegająca w przyszłość. Jedno i drugie znajdzie w książce Stawara. Nietrudno przewidzieć, że spotka się ona z przyjęciem bardzo niejednołitym: na Zachodzie nie będzie doceniona, na Wschodzie będzie lekturą bardzo poszukiwaną.

„Z DZIURAMI NIE WARTO HANDLOWAĆ”

Tak oświadczone w Warszawie dyrektorowi spółdzielni z Dębina. Do Dębina przysłała się przeto buty w jednym fasonie i jednym kolorze, niemodne garnitury i sukienki, których ni t w stolicy nie chce kupować. Nadal niedostateczne jest zaopatrzenie Dębina w artykuły żywnościowe. Dwa i pół tysiąca poszukuje pracę. W roku 1944 wybudowano w Dębnie aż dwa budynki o 72 izbach. Do dnia dzisiejszego Dębina nie ma ani wodociągów ani kanalizacji.

DOSKONAŁY PODAREK NA ŚWIĘTA — ORYGINALNE POLSKIE WÓDKI:

WÓDKA WYBOROWA 79 Pr. (Blue Label) ½ ltr. — 47/-; ¼ ltr. — 31/-;
½ but. — 24/-; Setka — 7/3; Min. — 4/-;

WÓDKA WYBOROWA 66 Pr. (Red Label) ½ ltr. — 38/9
WÓDKA LUKSUSOWA 79 Pr. ½ ltr. — 32/6
WISNIOŹKA 70 Pr. ½ ltr. — 30/-; ¼ but. — 23/-
Setka — 7/-; Min. — 3/9
JARZĘBIAK 70 Pr. ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9
ZUBRÓWKA 70 Pr. ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9
SLIWOWICA 69 Pr. ½ ltr. — 42/-; ¼ but. — 21/6
KRUPNIK 70 Pr. ½ ltr. — 32/-; Min. — 3/9

STARKA 87 Pr. ½ ltr. — 39/-; Min. — 4/3
PURE SPIRIT 140 Pr. ½ but. — 39/6; Min. — 6/6
GOLDWASSER 70 Pr. ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9
CACAO CHOIX & CHERRY LIQUEUR 50 Pr. ½ but. — 18/-
WAWEL PODWÓJNY — 48/6; Gąsiorek — 24/6
Min. — 3/9
CASSIS 61 Pr. ½ ltr. — 27/6; Min. — 3/9

WINA OWOCOWE — Rycerskie : Janczar : Beskid : Zbójnickie — butelka 9/9

PIWO TATRA-ZYWIEC, OKOCIMSKIE I PORTER

Do nabycia po cenach wyżej wym. w każdym dobrym sklepie win i wódek.

Wyl. Importer:

EDOUARD ROBINSON LTD. (Inc. Turner-Roche & Co.)

21, Old Compton Street, London, W. 1.

Tel. GERrard 3367

TADEUSZ FELSZTYN

BOMBA STU-MEGATONOWA

I

NAJSILNIEJSZA dotąd zdetonowana bomba wodorowa amerykańska miała moc 10 megaton tj. moc wybuchu dziesięciu milionów ton trotylu. Amerykańscy eksperci są zdania, że dalsze powiększanie mocy bomby wodorowej nie ma już celu i że bomba o mocy większej, niż 10 megaton, z punktu widzenia skutków (skutków fizycznych — oczywiście) jakie wywołuje, nie przynosi żadnej korzyści wojskowej.

Nie są to tylko przysłowiowe „zielone winogrona”. O ile bowiem zwiększenie mocy bomby atomowej zwykłej, uranowej lub plutonowej, jest niezmiernie trudnym problemem technicznym, jeśli nie rzeczą wręcz niemożliwą, to możliwość powiększenia mocy bomby wodorowej po prostu nie ma granic. Jak zwykle w połowie października oświadczyli oficjalnie władze amerykańskie, że Ameryka mogła bez trudności mieć bombę 50, a nawet stu megaton jeszcze w 1957 roku. W tym roku bowiem dotychczasowa mieszanina dwu izotopów wodoru, deuteru i trytu, kosztowna i trudna do produkowania w dużych ilościach, została zastąpiona w bombie wodorowej związkiem chemicznym ciężkiego wodoru (deuteru) i litu, znacznie tańszym i możliwym do produkowania w bardzo dużych nawet ilościach. Moc bomby wodorowej zależy głównie od ilości tego materiału, wystarczy więc zapłonnik bomby wodorowej, bombę uranową (lub plutonową), obłędnie dziesięciokrotnie większą ilością deuteru i litu, aby jej moc zwiększyła się dziesięciokrotnie.

Czy to jednak się opłaca? Porównajmy skutki wybuchu bomby 10-ciu i 100 megatonowej.

Bomba wodorowa działa podmuchem, ciepłem i promieniowaniem. Ponadto powoduje opady promieniotwórcze. Zasięg podmuchu bomby wzrasta jak trzeci pierwiastek jej mocy, jest więc przy bombie stumegatonowej tylko 2.15 razy większy, niż bomby 10 megatonowej. Lej powstający przy wybuchu bomby 10 megaton ma promień nie całych dwu mil, bomby stumegatonowej — cztery mile. Dziesięć więc bomb 10 megatonowych, wybuchających w odpowiednich odstępach obok siebie, pokryje swymi lejami przestrzeń przeszło dwa razy większą, niż jedna bomba stu megaton. W tym obszarze nie pomogą żadne, nawet najsilniejsze schrony, chyba że wykopane w skałach na głębokości kilkuset stóp.

Obszar całkowitego zniszczenia, gdzie nie zostaną żadne najsilniejsze nawet budowle i gdzie ocalać mogą tylko bardzo silne schrony, ma promień 7 mil dla bomby 10 megaton, a 15 mil dla bomby stu megaton. I tu znów lepszy skutek osiągnie dziesięć odpowiednio rozłożonych bomb 10 megaton, niż jedna stumegatonowa. Wreszcie promień lepszych uszkodzeń wynosi 40 mil dla bomby 10 megaton, a 86 mil dla bomby stu megaton. Na obszarze tym jednak podmuch jest niebezpieczny tylko dla osób poza schronami. Stosunkowo lekkie schrony zabezpieczą już przed jego skutkami.

Bomba 10 megatonowa może zniszczyć nie ukryte w schronach rakiety na odległości 7 mil od miejsca wybuchu, stumegatonowa na odległości 15 mil. Bomba stumegatonowa może więc zniszczyć kilka działobitni za jednym zamachem; przy dzisiejszym jednak ich rozłożeniu i przy obecnej celności rakiet dalszego zasięgu, i tu znów lepiej wystrzelić 10 bomb 10 megatonowych, niż jedną stumegatonową. Dla rakiet ukrytych w schronach promień zniszczenia jest co najmniej o połowę mniejszy, i tu więc również lepiej użyć 10 bomb słabszych, niż jedną silniejszą.

Nieco korzystniej dla bomby stumegatonowej przedstawia się jej skutki cieplne. Tutaj promień działania wzrasta jak pierwiastek z mocy bomby. Oparzenia trzeciego stopnia dotkną osoby nieodstronione znajdujące się w odległości około 10 mil od miejsca wybuchu, podczas gdy dla bomby stumegatonowej odległość ta wzrośnie do 35 mil. Praktycznie więc biorąc, nie ma różnicy, czy wybuchnie jedna bomba stu megaton, czy dziesięć bomb 10 megaton. Warto jednak zauważyć, że każda osłona przed bezpośrednim promieniowaniem znacznie zmniejsza skutki tego promieniowania, bez względu na siłę bomby.

To silne promieniowanie ciepłe bomby wodorowej powoduje liczne pożary. Ich zasięg zależy mniej od siły bomby, niż od odporności budynków na pożar i od kierunku wiatrów.

Jeśli chodzi wreszcie o działanie promieniotwórcze samego wybuchu, to ma ono mniejszy zasięg, niż działanie podmuchem, można je więc pominąć przy rozważaniach praktycznych.

Inaczej przedstawia się sprawa z opadami promieniotwórczymi. Opady te wywołują jedynie bomby „brudne” tj. mieszczące materiał produkujący hel (deuterok litu w nowoczesnych bombach) w ciężkiej osłonie z uranu. Opady te są niebezpieczne na odległościach ok. 450 mil przy bombie 10 megaton, a ok. 1000 mil przy bombie stu megaton. Oczywiście, są to tylko dane średnie, gdyż obszar, obsypany tymi opadami, zależy od wielu czynników, jak np. wysokość wybuchu, siła i kierunek wiatrów, warunki atmosferyczne. Są one jednak dość bliskie rzeczywistości, jak świadczy o tym fakt, że opady te stwierdzono na odległości 600 mil przy wybuchu niedawnej sowieckiej bomby 57 megaton. W przeciwieństwie jednak do innych stref zagrożenia, strefa opadów promieniotwórczych nie jest kołem, ale długą kieszką, niby ogon komety, której szerokość jest rzędu jednej piątej jej długości. I tu również obszar zagrożony wybuchem dziesięciu bomb 10 megaton jest większy, niż wybuchem jednej bomby stu megaton.

II

WOJSKOWE znaczenie bomby stumegatonowej, w porównaniu do 10 megatonowej, zależy od celu, jaki sobie stawia strona, która bomba te wyrzuci. Jeśli celem tym jest zniszczenie ośrodków o znaczeniu wojskowym, lub politycznym, to nie wiele jest celów, godnych bomby stu megatonowej. Najwyżej Nowy Jork, Londyn, lub Zagłębie Rury. Ale i tu dziesięć bomb siły 10 megaton uczyni to skutecznie.

Również, jeśli chodzi o zniszczenie działobitni rakietowych, to bomba 10 megaton zupełnie wystarczy, gdy chodzi o działobitnie, których stanowiska są znane. Jedyne w wypadku działobitni niedokładnie ustalonych bomba stu megatonowa ma większą szansę zniszczenia swym wybuchem kilku takich działobitni naraz. Ilekroć jednak takich bomb by było trzeba, aby zniszczyć wszystkie działobitnie? Ale nawet i takie kompletne zniszczenie nie mogłoby uchronić Rosji przed miażdżącym odwetem atomowym bomb, wystrzelonych Polarisami, lub też z baz amerykańskich dookoła Północy i zrzuconych przez samoloty.

Znaczenie wojskowe opadów promieniotwórczych jest sprawą sporną. Gdyby strona napadnięta nie poczyniła żadnych przygotowań obrony bierno, skutki tych opadów byłyby srażliwe. Straty np. Stanów Zjednoczonych od wybuchu trzystu „brudnych” bomb wodorowych wyniosłyby prawie połowę ich mieszkańców. Przy zastosowaniu schronów jednak, liczby te

zmnęłyby się do pięciu, lub nawet 10 procent. Oczywiście, problem, jakie schrony są najlepsze, indywidualne, czy też zbiorowe, jak daleko od miejsca wybuchu zabezpieczają one przed skutkami bomby, jest wciąż przedmiotem dyskusji, faktem jest jednak, że masowe budowanie schronów, jakie widzimy obecnie w Stanach Zjednoczonych, napewno poważnie zmniejszy straty amerykańskie w razie rosyjskiego napadu atomowego.

Zachodzi więc pytanie, czy stosowanie bomb „brudnych” jest wojskowo uzasadnione. Nie ulega wątpliwości, że w razie wojny, gdy ilość bomb wodorowych wyniesie setki, ilość opadów promieniotwórczych z wyrzucanych w stratosferę produktów wybuchu wzrośnie do tego stopnia, że stanie się groźbą dla całej kuli ziemskiej, a więc i dla mieszkańców kraju, który bomby te wyrzucił. Bomba „brudna” stanie się więc bronią samobójczą. I właśnie dlatego Amerykanie zbudowali bombę „czystą”, której działanie podmuchowe i ciepłe jest skuteczne na dużej przestrzeni, która jednak prawie że nie zakłada atmosfery pyłami promieniotwórczymi.

Niewątpliwie jednak mają oni i duże zapasy bomb „brudnych”. Gdyby więc Rosjanie obrzucili Stany Zjednoczone swymi bombami „brudnymi”, Amerykanie mają zawsze możliwość odwetu takimi samymi bombami. A w Rosji, gdzie prawie że nie ma schronów, bomby te, zrzucone w okolice gęstszego zaludnienia, spowodowałyby hekatombę, które mogłyby stać się nie tylko olbrzymią katastrofą, ale i końcem władzy sowieckiej.

Wrómy jednak do tematu zasadniczego: czy bomba stu megaton opłaca się wojskowo? Widzieliśmy, że ten sam skutek, co bombą stu megaton, można zawsze osiągnąć bombami o mocy 10 megaton o masie ogólnej, silniejszej, lub najwyższej równiejszej bombie stumegatonowej. Bomby lżejsze mają ponadto i inną zaletę. Obrona przeciwrakietowa, zwłaszcza obrona amerykańska, jest już dziś tak dobrze zorganizowana, że tylko część bomb zdola się przez nią przedrzeć. Znacznie więc większą szansę ma przedarcie się kilku z dziesięciu bomb 10 megaton, niż jednej bomby stumegatonowej. Nie zapominajmy również, że środki transportu bomby lżejszej, czy będzie to rakietka, czy też samolot, są również lżejsze. Może ich więc być więcej, co znów powiększa ich szansę przedarcia się, nie mówiąc już o tym, że żaden samolot nie uniesie bomby mocy stu megaton.

W rezultacie więc rację mają Amerykanie, że bomba stu megaton po prostu wojskowo się nie opłaca. Może ona mieć tylko znaczenie psychologiczne, niby chiński smok zjejący ogień. I prawdopodobnie to było celem Chruszczowa, gdy zapowiadał bombę stu megaton i gdy detonował bombę mocy 57 megaton. Wydaje się jednak, że pomylił się w swych rachubach.

DLACZEGO STUDENCI W ARSZAWIE CHODZĄ GŁODNI?

Na pytanie to stara się odpowiedzieć warszawski „Sztandar Młodych”. Pismo informuje m. in., że w warszawskich stołówkach studenckich zabrakło w ub. roku szkolnym miejsca dla 4.500 studentów. „Po prostu kilkanaście stołówek nie jest w stanie przygotować dla nich posiłków. W nadchodzącym roku akademickim liczba studentów bez przydziału zwiększy się o blisko tysiąc. Ponadto wielu jeszcze innych studentów nie jada 'z własnej woli'. Chodzi o tych, którzy muszą korzystać z dietetycznej stołówki. Ulokowano ją tak, że dojazd z Uniwersytetu czy Domu Studenckiego do Grochowej i Woli trwa godzinę. Wobec takiej perspektywy studenci często rezygnują i usiłują oszukać głód namiastką obiadu w barze mlecznym”.

Dlatego właśnie studenci — pisze dalej „Sztandar Młodych” — chodzą i będą chodzić głodni. „W roku 1961 na naradzie władz Uniwersytetu i spółdzielni 'Zak', postanowiono zwrócić się do Prezydium Stołecznej Rady Narodowej o przekazanie studentom jadłodajni 'fatysiakowie' i jeszcze jednego zakładu. Prezydium do tej pory nie podjęło decyzji. Ale nawet w wypadku pozytywnej odpowiedzi byłoby to tylko półśrodek. Dopiero po zbudowaniu studenckiej 'Riwiery' sytuacja na froncie stołowym zostanie opanowana. Ale na to trzeba czekać jeszcze kilka lat”.

(FEC)

Na dorocznej uroczystości poświęconej pamięci Obrony Lwowa urzędowej w Londynie wspólnie przez Koło Lwówian i Związek Ziem Południowo-wschodnich wygłosił dr Z. Stahl referat, który podajemy poniżej w pełnym brzmieniu:

MAM MÓWIĆ o sprawie ziem wschodnich w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej. Z pewnością niektórzy spośród nas pod wpływem rozmaitych argumentów, różnorodnych motywów, stawiają sobie pytanie, czy taka sprawa w ogóle istnieje. Czy wolno o niej mówić jako o zagadnieniu polityki? Czy ziemie wschodnie nie są już dla nas tylko światem wspomnień, odległego i utraconego bezpowrotnie kraju rodzinnego? Czymś, czemu wolno poświęcać tylko historyczne opracowania, opiewać w pieśni i poezji, wrzucać się odświętnie, ale o czym nie wolno już mówić, jako o sprawie politycznej, o zagadnieniu realnej, starającej się patrzeć w przyszłość polityki polskiej.

Z pewnością są tacy wśród nas, którzy rozczarowani i zmęczeni, albo uważający się za trzeźwych realistów, już wspominają tylko ziemie wschodnie, a myślenie o nich polityczne — o rzeczywistych możliwościach ich wyzwolenia spod sowieckiej przemocy traktują jako mrzonki. Wydaje mi się jednak, że rozumując tak Polacy podobnie odnoszą się do całej sprawy odzyskania niepodległości Polski. Uważanie sprawy ziem wschodnich za nierealną mrzonkę jest w istocie tylko fragmentem ogólnego stanowiska rezygnacji z dążenia do niepodległości. I jedno i drugie jest pochodną tego samego przekonania, że panowanie Rosji Sowieckiej nad połową Europy i Polską, że potęga całego, komunistycznego imperium sowieckiego jest trwałym czynnikiem międzynarodowym, z którym należy się realistycznie pogodzić.

Ludzie, którzy nie wierzą, którzy ulegli magii aktualnej potęgi materialnej, nie mogą sobie wyobrazić załamania się totalnego imperium Moskwy, zarówno uważają za mrzonkę wyzwolenie ziem na wschód od Sanu i Bugu, jak i wyzwolenie całej Polski spod sowieckiego panowania. Tyle, że odnośnie do tak zwanej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej liczą stale na jakieś rozluźnienie i demokratyzację komunistycznego systemu, na jakieś pomyślne ewolucje w Rosji, ale nie na niepodległość istotną.

LISTOPADOWY OBCHÓD OBRONY LWOWA

Za wspólną inicjatywą oraz staraniem Koła Lwówian i Związku Ziem Płd. Wschodnich odbyły się w Londynie doroczne uroczystości poświęcone pamięci Obrony Lwowa w 1918 r. i zarazem odzyskania wtedy przez to bohaterkie starodawne miasto Rzeczypospolitej niepodległości. Odbyły się one w tym oku po raz pierwszy pod patronatem prof. dr St. Ostrowskiego, jako ostatniego prezydenta wolnego Lwowa, z r. 1939, który przybył dla wzięcia w nich udziału z Liverpool, gdzie stale mieszka.

W niedzielę 26 bm. odbyła się Westminster Cathedral Hall, przy współudziale przeszło trzystu osób, akademii której przewodniczył prez. dr Ostrowski i obok którego zasiadli w prezydium, jako przedstawiciele obu organizujących obchód związków: pp. płk. S. Kuniczak, dr S. Mękarski i J. Petrykiewicz — z ramienia Koła Lwówian oraz pp. J. Narożański, dr Z. Stahl i mgr. A. Treszka — imieniem Zw. Ziem Płd. Wschodnich. Na akademii przybyli m. in.: gen. T. Bór-Komorowski, prezesi dr T. Bielecki i dr W. Czerwiński, prezes Zjednoczenia Polskiego red. P. Hęciak, marsz. B. Podolski — prezes Rady Zw. Ziem Płd. Wsch. p. Anna Januszajtis — przew. Zjednoczenia Polek, prezes H. Zabielski — przedstawiciel SPK, prof. B. Helczyński, min. dr B. Kuśnierz, gen. dr R. Odziejewski, gen. S. Sosabowski, gen. dr Ząbkowski, płk. F. Arciszewski, płk. T. Schaetzel.

SPRAWA

NIEODWRACALNOŚĆ ZDOBYCZY IMPERIALIZMU A HISTORIA

Na poparcie tego całego realizmu, który prowadzi w istocie do rezygnacji z programu niepodległości, wysuwa się szereg argumentów — kutyh zresztą przeważnie w kołach, które nie żywią dla Polski życzliwości — a ogólnie ich tłem jest deterministyczna teoria nieodwracalności dzisiejszego układu międzynarodowego.

A przecież, jeśli pomyślimy samodzielnie i zastanowimy się trochę głębiej, czyż może być coś bardziej sprzecznego z doświadczeniem historycznym, jak trwałość i nieodwracalność układu międzynarodowego w dwudziestym wieku? Przypomnijmy sobie dzieje najnowszej historii naszej rodzinnej Europy, dzieje ostatniego sześćdziesięciolecia, które są jeszcze pamiętnym doświadczeniem starszego i żyjącego pokolenia. Jak wyglądały granice i ustrój polityczny Europy na początku naszego wieku i co się z nim dalej działo.

W Europie około roku 1900 panowała równowaga sił, oparta na fundamencie tak zwanego świętego przymierza, na zasadzie którego Polska była w niewoli i podzielona między trzy zaborcze monarchie. Monarchie były potężne, trony wydawały się niezachwiane. Ludzie trzeźwi i realni owych czasów byli także przeciwnicy o nienujarzalności tego układu ustrojowego i międzynarodowego, o trwałości zaborów i przemożnej potęgi zaborców. I wtedy także, walka o niepodległość, zbrojna czy polityczna, wiara w jej odzyskanie, uważane były za mrzonki fantastów, za rojenia politycznych ignorantów.

Wbrew temu całemu „realizmowi” a po linii mrzonek fantastów, cały ten gmach Europy z początku naszego wieku, razem z tronami zaborców padł w wyniku pierwszej wojny światowej. Przyszło dwudziestolecie niepodległości i układ międzynarodowy, oparty na Traktatach Wersalskim i Ryskim, na Lidze Narodów. Wierzyliśmy wtedy głęboko, że odzyskana niepodległość nasza i innych narodów Europy jest zdobyczą trwałą i że nie będzie już nawrotu do imperializmów ani niewoli. Na Zachodzie powszechna też była wiara, że nie będzie więcej wojen, że nastąpi powszechne rozbrojenie, nad którym jak teraz obradowały nie-

UWAGA POLACY WE FRANCJI ŚWIĘTA ZA PASEM?

Najwyższy czas wysłać paczkę do rodziny by doszła przed świątami!

WYSYLKA PACZEK DO POLSKI I ROSJI przez największą polską firmę wysyłkową

TAZAB w LONDYNIE

Owoce świeże (bez cła), z gwarancją dostawy w doskonałym stanie, paczki żywnościowe i mięsne bez opłaty cła przez doborcze, angielskie materiały welniane, nylonowe, bawełniane, bielizna, kapy pluszowe.

WSZELKIE LEKARSTWA (również na recepty).

MASZYNY DZIEWIARSKIE, MOTOCYKLE, PRZEBOGATY WYBÓR MATERIAŁÓW.

Cenniki na żądanie przesyła, udziela wyjaśnień i przyjmuje zamówienia:

ELKA SABL — 20, rue Legendre
Paris 17-c

Pourtant je sais parfois, dans une heure profonde,
Je sais, je sais, je sais,
Que si nous avions pu, fût-ce qu'une seconde,
Arriver à nous exacer,
Ce qui fut ne serait si fort, si grand, si beau,
Que nous aurions, ainsi qu'un poids dans un plateau
Ajouté quelque chose au monde.

Et c'est plus désolant que tout ce qui existe
Plus que le temps perdu et le bonheur raté,
Ce sentiment perpétuel, tragique et triste,
D'un bien perdu pour toi, pour les autres, pour moi,
Perdu, on ne sait pas pourquoi...

Henry de MONTHERLAND.
(Encore un instant de bonheur)

Zalany słońcem wiosennym plac w Opery paryskiej był stosunkowo pusty. O pierwszej popołudniu szanujący się Paryżanie albo jedli już „dejeuner“, albo zasiadali do stołu. Auta przejeżdżały jakoś wolniej i uważniej, nawet autobusy zdawały się ociągać, zwalniać biegu. Szeroko otwarta paszcza metra wyrzucała od czasu do czasu nielicznych pasażerów, z których jedni śpieszyli się nerwowo, podczas gdy inni przystawali przed wystawami magazynów, lub odchodzili w głąb ulic obojętnym, spacerowym krokiem.

Od strony bulwaru des Italiens szedł wysoki, tęgą mężczyzna. Wchodząc na jezdnię placu, obejrzał się dokoła z pewną pochliwą ostrożnością, świadczącą wyraźnie, że był krótkowidzem i, mimo swych niemodnych binokli, o wiele zresztą estetyczniejszych, niż okropne amerykańskie okulary, nie dowierzał zbyt swemu wzrokowi. Nie wyglądał na paryżanina, lecz raczej na mieszkanka prowincji, lub cudzoziemca. Ciepłe, kosztowne i dobrze skrojone palto mówiło o zamożności, lecz niezbyt dobrze dobrane do twarzy kapelusze i krawaty wskazywały, że właściciel ich pozbył się już wszelkiej męskiej kokieterii. Dziwny jakiś wyraz zubożenia, niemal apatii, znaczył swym piętnem całą tę postać niestara — lat czterdziestu kilka najwyżej — i nie pochyloną. Nie było w tym ani buntu, ani cierpienia, było może nawet pewne zadowolenie fizyczne po dobrym obiedzie, czy też po załatwionym pomyślnie interesie. A przecież czuło się w tym człowieku coś zastygłego, zamarłego i może nawet już zapomnianego. To jedno w nim uderzało, bo zresztą i twarz miał taką, jak tysiące ludzi przeciętnych: przystojną, o dość regularnych rysach, lecz bardzo zwykłą.

Powoli, nie spiesząc się, wszedł na stopnie Opery i rzucił okiem przed siebie. Szeroki plac i niemniej szeroka Avenue de l'Opera kąpały się w blasku słonecznym, tak rzadkim w Paryżu. Wzdłuż avenue sunęły różnokolorowe auta, niby zabawki na gwiazdkę dla dzieci wielkoludów, i długie, zielone, jak ugotowany szpinak, autobusy. Przeszła przez plac wędrowna kwiatciarka z dużym koszem, dejąc ku tarasowi pobliskiej kawiarni. Zapachniało nagle wiosną, bzami i konwaliami.

Mężczyzna stał chwilę zapatrzony. Coś jakby cień przeliznęło się po jego twarzy, a może po prostu była to gra światła w ów rzadki promienny dzień paryski. Odwrócił się i machinalnie rzucił okiem na złoty afisz Opery, który głośił wielkimi literami:

„Dnia 26 kwietnia, we środę 1937 r.
„Marouf, savetier du Caire.
(Maruf, łapciarz (szewczyk) z Kairu)

„Epizod z tysiąca i jednej nocy“, muzyka Henryka Rabauda. Krótkowidz podszedł bliżej, aby przeczytać nazwiska artystów, i omal nie potracił stojącej plecami do niego drobnej postaci kobiecej. Uchylił więc poprawnie kapelusza i mruknął obowiązkowo: „Pardon, madame!“. Kobieta odwróciła się szybkim ruchem, wyzwana z zamyślenia, czy z niemej kontemplacji afisza. Oczy jej spotkały się z oczyma mężczyzny i nagle wyraz niezmiernego zdziwienia, niemal zdumienia, rozlał się po obu twarzach.

MARYA KASTERKA

WIECZÓR W OPERZE

Nie było ani ruchu, ani wykrzyknika. Całe życie dwojga ludzi zbiegło się w oczach, one jedne patrzyły, szukały czegoś znanego, stwierdzały i badały nieznaną. Gwar wielkiego miasta, dzień wiosenny, ich własne cele i zamiary dnia, stały się obce i nieobecne. Brała ich w posiadanie przeszłość, może daleka, może odrzucona na zawsze, ale śnać wiecznie żywą na dnie ich dusz. Coś niedopelnionego, nieskończonego, coś czego nie wyczerpało do dna życie...

Wzrok kobiety objął w jednym spojrzeniu i ów wyraz znużenia czy apatii postaci męskiej, i brak troski o własny wygląd, brak tej chęci podobania się, w której jest coś młodego i żywego, nawet u ludzi starych, i dwie bruzdy, opadające od nosa ku ustom, i parę zmarszczek nad gęstymi, pięknie zarysowanymi brwiami. Życie pisało już dużo swoim ryłcem na tej twarzy ale nielatwo było w niej czytać. Czulo się, że człowiek ten nieufnie, czy może trwożliwie, zamykał się w sobie, że kurczył się i kulił na codzień, przyjmując ludzi przed progami swego serca i swojej duszy, a klucz od nich chował tak głęboko i tak zazdrośnie, że może sam nieraz zapominał, gdzie go szukać. Tacy ludzie bezwiednie stosują w życiu maksymę Talleyranda: „Méfie-toi de ton premier mouvement: il est bon“ (Nie dowierzaj twemu pierwszemu popędowi: jest dobry). Chcą, żeby ich nareszcie ktoś zrozumiał i pokochał, a boją się tego, jak ognia. A jeśli się znajdzie taki, jeśli mu zawierzą, i nawet ukochają, to i tak codziennie wymykać mu się będą z ręki, jak mały piskorz, złapany w strudze na łące przez wiejską dziewczynkę. Zdaje się jej, że go mocno trzyma w palcach, gdzie tam! już plusnął w srebrną wodę i znikł pod zieloną „rzęsą“. Tylko piskorz przynajmniej kontent jest, gdy odzyskał swobodę, gdy go nikt nie goni, ani nie szuka, a taki człowiek ma żal do tego, co go zatrzymać nie umiał, i nie odchodzi, a czeka.

Wzrok mężczyzny powoli, uważnie przesunął się po drobnej postaci w brązowym wiosennym kostiumie, bardzo poprawnym, ale i bardzo skromnym, który ożywiła jasna „echarpe“ i jakiś modny bukietek małych, pastelowej barwy kwiatów na brązowym kapeluszu. Miało się dziwne wrażenie, że oto człowiek ten powraca po długiej nieobecności do swego dawnego domu i widzi, że tam zamieszkał kto inny. Dom ten sam, sprzęty te same, tylko tu i ówdzie coś dodano lub przestawiono, a przecież już nie to samo. I jednak to samo! ...

Oto w kątach oczu, zawsze śmiało i prosto patrzących, czają się drobne zmarszczki. Tego nie było. W ciemno-kasztanowatych włosach wije się nitka srebrna. Tego nie było. Jakby z odrobiną goryczy opadają kąty małych ust. Tego nie było. Dyskretny „maquillage“ na trochę mizernej twarzy. Tego nie było... Ale rysy nie zmieniły się, ani sylwetka, ani wyraz oczu. Więcej tylko pewności siebie, więcej spokoju, może pozorzonego jedynie. Tę pewność, ten spokój dało jej życie, lub ktoś, co umiał podzielić z nią życie, wiernie, uczciwie.

Parę minut upłynęło. Oboje zaczęli sobie zdawać sprawę z kłopotliwości milczenia, które czas było przerwać. Ale czym? Ale jak? Żeby nie zranic ani siebie, ani drugiego i... o biedna bardzo ludzka troska!... nie być śmiesznym.

Byli na placu Opery, w sercu Paryża. Przyszli im w pomoc paryski żart, którym pokrywa się wszystko, zle i dobre, smutek i radość. Mężczyzna przemówił pierwszy:

— Spotkać się po tylu latach przed afiszem Marufa na placu Opery, to coś jak epizod z opowieści Szeherazady, nieprawdaż?

Nie użył żadnego zwrotu osobowego, chciał pozostawić jej inicjatywę. Zrozumiała to i odpowiedziała z uśmiechem przyjaznym, lecz znacząc od razu granicę:

— Ma pan słuszność. Coś jakby się spotkało ducha na placu Opery.

— Mieszka pani stale w Paryżu? Spotykam się z jej nazwiskiem w prasie, więc sądzę...

— Tak. A pan zawsze w Liege? Jak interesy?

— Dziękuję. Kryzys, jak wszędzie, ale się wytrzymuje.

— Na długo w Paryżu?... — chciała dodać machinalnie: „rodziną?“ i niewiadomo czemu urwała. Odgadł niewymówione pytanie:

— Przyjechałem sam za interesami na parę dni. Załatwiłem je i wyjeżdżam jutro rano. Mam doskonały pociąg.

Po co to mówił? Właściwie sam nie wiedział. Trzeba było coś mówić, bo inaczej rozmowa się urwie i trzeba będzie się rozejść.

— Jest, zdaje się, jeszcze inny, popołudniowy, też bardzo dobry. Jechałem nim.

— Była pani niedawno w Liege?

— Parę lat temu, z mężem. Na jakimś kongresie prafowym.

Ktoś obcy mu stanął pomiędzy nimi. Ktoś, co miał prawo teraz... ściągnął brwi i z nagłą decyzją cofnął się w tę przeszłość, o której nigdy nie chciał myśleć od lat tyłu, a którą mimo to czuł w sobie glucho, podświadomie... O dziwo, wyjrzała z dna duszy, tak barwna i żywa, że dziś wydało się przy niej blade i umarłe.

— Czy pamięta pani ten plac wieczorem 11-go listopada 1918 roku? Czarny był od tłumów, a Opera gorzała płomieniami światła ponad nim. Na Avenue de l'Opera jeszcze latarnie świeciły niepewnie, pomalowane na ciemno podczas wojny. Słyszy od nich w powietrzu fale światła smutnego i fale cieni. Ale Opera była jak wielki bukiet świetlany. Na balkonie Marthe Chenal i Pierre Nothomb, wielki śpiewak belgijski, i inni artyści. Śpiewają „Marsyliankę“. Pamięta pani? Tak było wtedy ciemno i tak jasno na tym placu... Śpiew szedł jak grzmot radości i tryumfu nad tłumem, a w tym tłumie coraz rozlegał się płacz cichy, czy jakiś zdławiony szloch. Pamięta pani? Kto był wtedy na tym placu, nie zapomni nigdy. Do końca życia... Ah, jaki piękny był wtedy ten tłum paryski, jaki różny od dzisiejszego! Takim nie widziałem go już drugi raz i nie zobaczę!...

Milczała chwilę. Wspomnienia wielkie i mocne mają to do siebie, że ogarniają myśl ludzką, jak pożar, i wyjść z nich niepodobna. Zamiast słonecznego dnia kwietniowego widziała przed sobą ciemny, pochmurny wieczór jesienny, słyszała grzmiący śpiew, podjęty przez zwarte tłumy ludu, słyszała nawet cichy brzęk jakichś kluczy, co wypadły z rąk, stojącej obok kobieciny w chustce, czuła na swojej ręce silnie zaciśniętą rękę męską...

— Pamiętam... Nie zapomina się podobnych rzeczy. Jest w nim coś, co przewyższa człowieka. To był naprawdę Dzień Sławy... Ale ja raz jeszcze widziałam tłum Paryża bardzo piękny. Było to wtedy, gdy skończył się Dzień Sławy... na pogrzebie marszałka Foch'a...

— Była pani w Notre Dame?

— Nie, na placu Notre Dame. Chciałam widzieć nie ceremonię ale właśnie tłum, wie pan, ten zwykły tłum i tych „badauds de Paris“. Stali dziwnie karnie i cicho, nie kłócąc się o pierwsze miejsce, nie popychając, nawet nie żartując. A gdy po eskorcie wojskowej ukazała się czarna trumna na lawecie, gdy trąbki zagrały długo, żałośnie, przejmująco, gdy jękły glucho dzwony Notre Dame, jakiś szmer dziwny przeleciał nad odkrytymi głowami, niby łopot sztandarów. Kilka kobiet koło mnie zaczęło szeptać: „Zdrowaś Maryja“. I ja mimowoli zaczęłam odmawiać wtedy „wieczny odpoczynek“. Czułam, że kończy się Dzień Sławy, wchodzi do sanktuarium narodowego wraz z trumną, a zaczynają się dni nowe, dni niepewne, dni może zawodów. I modliłam się za tego, co odchodził w płaszczu sławy, za tę epokę, co się kończyła, i trochę... za samą siebie...

(Ciąg dalszy nastąpi)

KANCELARIA PRAWNA

pod kierownictwem doktora prawnego
S. OLŚNICKI
Tłumacz przysięgły przy sądach francuskich
106, RUE JOUFFROY,
PARIS 17-e.
Metro Wagram
Tel. WAGRAM 88-91
Tłumaczenia urzędowe do ślubów, naturalizacji, sprowadzania rodzin itd. Wszelkie sprawy sądowe, cywilne i karne we Francji i w Polsce
Pełnomocnictwa

PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

PACZKI WOLNE OD CŁA
HASKOBA LTD
121, EARL'S COURT ROAD,
LONDON, S.W.5. FRE 7888

Nakładem „REDUTY“ i INSTYTUTU BADANIA ZAGADNIEN KRAJOWYCH ukazała się broszura: **STEFAN MĘKARSKI** Sowiecko - rosyjskie wpływy kulturalne w „Polsce Ludowej“
Str. 28. Cena 1/-
Do nabycia w księgarniach polskich oraz w „REDUCIE“:
32, Bolton Gdns., London, S.W.5.

POLACY KUPUJĄ POLSKIE KALENDARZE

Ukaże się w listopadzie:
KALENDARZYK KOMBATANTA na rok 1962
KIESZONKOWY
w reksynie 4/- w skórcie 7/6
do nabycia we wszystkich polskich kioskach oraz przesyłany na zamówienie w:
GRYF PUBLICATIONS LTD. — 171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S.W. 11.

NA UBRANIE TRZEBA PRACOWAĆ 2 MIESIĄCE

W sklepach warszawskich — jak informuje „Słowo Powszechne“ — „trwa w pełni sezon jesienno-zimowy“. Ceny odzieży są jednak bardzo „słone“. Np. za garnitur wełniany klienci muszą płacić od 2.500 do 3.200 złotych, za jesienkę z 60-100 proc. wełny od 700-3.200 zł, za spodnie zaś 1.000 zł. Tak więc za średniej jakości ubranie robotnik musi płacić przynajmniej dwumiesięczny zarobek.
(FEC)

NOWE FILMY

FANNY

„FANNY“. Cykl trzech filmów pod tytułem: „Mariusz“, „Fanny“ i „Cezar“ Marcellego Pagnola nakręconych w latach 30-tych, zrobił dużą karierę. Na wysokim poziomie artystycznym, pełne prawdziwej Francji i Marsylii, do dziś można je spotkać w małych kinach londyńskich, specjalizujących się w filmach kontynentalnych.
„Fanny“ jest nowym filmem. Wprawdzie film oparty jest na tej samej historii i opowiada dzieje dziewczyny, którą opuścił kochanek by udać się na morze, ale jego nastrój jest niefrancuski, zaś aktorzy nie stoją na tej wyżynie gry co ich odpowiednicy w wyżej wymienionym cyklu.

Do dziś dnia mam w pamięci grę Raimu jako Cezara, ojca Fanny. Tu jest nim Charles Boyer, znany i dobry zresztą aktor, ale to nie to samo. Nie mogli też inni jak: Maurycy Chevalier grający starego Panisse'a, męża Fanny, czy sama Fanny, zresztą miłutka Leslie Caron. Reżyser Joshua Logan zbyt hol-

lywoodzki jak na mój gust. Co wyszło właściwie, to sama Marsylia w kolorowych zdjęciach Jacka Cardiff.

Oczywiście czytelnik może zapytać, po co to porównanie? A sam film, gdyby recenzent nie widział tamtych, co reprezentuje? Słusznie! Bardzo przeciętny produkt, gdzie główną uwagę zwrócono na stronę dekoracyjną, niezwykłość, takie montowanie sytuacji by widz radował się gromkim śmiechem względnie ronił łzy. Zespół aktorów międzynarodowy, poza wyżej wymienionymi Fra. czuzami, jest Niemiec Horst Buchholtz, grający Mariusza, który po ośmiu latach na morzu, wraca do Fanny, która zostaje jego żoną po śmierci Panisse'a.

Na marginesie tego filmu cisnie się uwaga, że nie wszystko każdy może zrobić. Jeśli temat tak rdzennie francuski jak wyżej omawiany, powinni go robić tylko Francuzi. Choć są od tej zasady drobne wyjątki, uważam, że aktorzy włoscy właściwie są pokazani tylko we włoskich filmach. Również nie wyobrażam sobie, by ktoś z innego narodu, potrafił zrobić takie filmy jak „Popiół i diament“ czy „Lotna“, które są, mimo pewnych niedociągnięć, rdzennie polskie.
S. Legeżyński

Czytaj polską książkę

